

mgr Andrzej Kobalczyk
Skansen Rzeki Pilicy

Drugi Belweder od kuchni...

(Spalska rezydencja Prezydenta I. Mościckiego oczami pracowników obsługi)

Spała to z całą pewnością miejsce magiczne. Ta śródleśna osada, będąca niegdyś myśliwską stacją rosyjskich carów, a potem – letnią siedzibą prezydentów R.P., urzeka i zarazem intryguje swoją niepowtarzalną atmosferą i niezwykłą historią. Z dawien dawna niezwykły magnetyzm Spały przyciągał do niej władców Polski i państw zaborczych. To tutaj, wśród ostępów dawnej Puszczy Pilickiej, miały miejsce wydarzenia o doniosłym znaczeniu nie tylko dla naszego kraju, ale i całej Europy.

Szczególnym sentymentem darzył Spałę Prezydent R.P – prof. Ignacy Mościcki. Stała się ona dla niego w latach 1926-39 ulubionym miejscem tak dla wypoczynku, ale i pracy, w którym starał się bywać jak najczęściej. Dlatego też ulubioną, spalską siedzibę Głowy Państwa nazywano powszechnie nie tylko „najpiękniejszą w Polsce leśniczówką”, ale często również „drugim Belwederem”. Taki, oficjalny i odświętny obraz Spały za prezydentury I. Mościckiego utrwalano i powielano w licznych artykułach i relacjach prasowych, a także w audycjach radiowych i kronikach filmowych. A jak ta rezydencja wyglądała z drugiej strony?

Do poszukania odpowiedzi na to pytanie zachęciło mnie żywe zainteresowanie, jakie wywołał mój artykuł pt. „Most dla Prezydenta”, zamieszczony w 1999 roku na łamach wielce poczytnego „Tomaszowskiego Informatora Tygodniowego” (w nr. 47). Opowiedziałem w nim nieznaną, lecz jakże frapującą historię spalskich mostów na Pilicy. W jej zrekonstruowaniu wielce pomocne okazały się informacje zwykłych ludzi, związanych przed II wojną światową, poprzez swoją pracę lub pracę swoich bliskich, z ówczesnym pałacykiem prezydentów R.P. w Spale. Przekazywane mi przez nich, za sprawą wcześniej wspomnianej wcześniej gawędy, kolejne relacje i pamiątki zaczęły się składać na obraz spalskiej rezydencji, który trudno byłoby odnaleźć na kartach wielu książek, albumów, przewodników i artykułów, ukazujących – jak się rzekło - świetność Spały niejako „od frontu”.

Tak doszło do zapoczątkowania w lutym 2000 roku na łamach TIT cyklu moich comiesięcznych gawęd noszących wspólny tytuł „Spalska Arkadia”. Przystępując do ich pisania zamierzałem ukazać nieznaną dotąd obraz tej jedynej w swoim rodzaju nadpilickiej, śródleśnej osady, która zrobiła oszałamiającą karierę dzięki rosyjskim carom, a później – prezydentom R.P. Postanowiłem odejść od wielokroć powielanego, oficjalnego wizerunku Spały, jako przedwojennej rezydencji Głowy Państwa. Podjąłem zatem próbę odtworzenia obrazu Spały widzianej oczami jej zwykłych mieszkańców, zatrudnionych przy obsłudze siedziby prezydentów Rzeczypospolitej. Oddźwięk, jaki zyskał ten zamysł, przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Cykl, który początkowo miał zawierać najwyżej dwa – trzy odcinki, rozrósł się aż do jedenastu gawęd!

Bez wątpienia, sprawiła to wielka estyma, jaką na ogół darzą Spałę ludzie, których życiorysy bądź losy ich najbliższych splotły się z dziejami tej osady. Z wielką życzliwością i zaufaniem dzielili się oni ze mną swoimi wspomnieniami, a także udostępniali najrozmaitsze pamiątki rodzinne związane ze Spałą. W niektórych przypadkach chęć udziału w dopisywaniu ciągu dalszego do „Spalskiej Arkadii” była

również inspiracją do poszukiwania rodzinnych korzeni i odtwarzania rodzinnych więzów. Do współtworzenia tych gawęd włączali się byli mieszkańcy Spały, rozsiani po całym kraju, a także za granicą.

Dzięki temu powstała niecodzienna galeria postaci związanych z dawną Spalą: pokojówek, kucharek, kredensowych, krawcowych, kamerdynerów, stangretów, kierowców, łącznościowców, ogrodników, policjantów i strażników leśnych. To ich oczami zacząłem oglądać przedwojenną Spalę i rychło przekonałem się, że te opowieści łączy wspólny mianownik: wielka estyma do spalskiej rezydencji i jej dostojnego lokatora – I. Mościckiego, ale także gorycz ze smutnego kresu tamtej idylli. Ludzie, którym dane było choć na chwilę ogrzać się blaskiem Prezydenta i Jego świty, do dzisiaj czują się na swój sposób wybranymi...

Istotnym efektem tego cyklu stało się także zgromadzenie imponującego zbioru dokumentów i fotografii, z których większość nie była dotąd publikowana. Niektóre z tych zdjęć ujrzały po raz pierwszy światło dzienne właśnie na łamach TIT w charakterze ilustracji do moich gawęd z cyklu „Spalska Arkadia”. Ukazują one wiele nieznanych dotąd zdarzeń i scen zarówno z codziennego, jak i odświętnego życia przedwojennej Spały. Część tych unikatowych, utrzymanych w niepowtarzalnym klimacie zdjęć, została zaprezentowana we wrześniu 2003 roku na panoramicznej wystawie pt. „Magiczna Spala”, towarzyszącej Dożynkom Prezydenckim w Spale.

Informacje i pamiątki zebrane za sprawą gawęd z cyklu „Spalska Arkadia” stały się cennym nabytkiem Skansenu Rzeki Pilicy, powstającego od 2000 roku w Tomaszowie Mazowieckim. Dzieje Spały, tak ściśle zespolone z Pilicą i dawną Puszcza Pilicką, zajmują poczesne miejsce w działalności dokumentacyjnej i wystawienniczej tej pionierskiej i unikatowej w skali kraju placówki.

x x x

Tak, dobrze pamiętam ten zegar. Stał na kominku w holu na parterze pałacu. Pokazywał nie tylko godziny i minuty, ale także dni tygodnia, miesiące i pory roku. A prawo do nakręcania go miał tylko pan Głowacki. On pamiętał jeszcze carskie czasy w Spale, a za Mościckiego był już na emeryturze. Pozwolono mu jednak jeszcze wykonywać niektóre drobne prace w pałacu, a także opiekować się wszystkimi zegarami, jakie w nim były, Aha, przypominam sobie, że pan Głowacki miał pod swoją pieczę także pałacową pościel.

Tak zaczęła swoje „spalskie wspominki” pani Józefa Szymańska, którą odwiedziłem w styczniu 2000 roku w jej mieszkaniu, usytuowanym w jednym z bloków tomaszowskiego osiedla „Niska”. Do mojego spotkania z pani Józefą, liczącą sobie wtedy już 90 lat, przyczyniły się drukowane w TIT gawędy z cyklu „Spalska Arkadia”. Okazało się, że moja rozmówczyni, pomimo już sędziwego wieku, odznaczała się wprost fenomenalną pamięcią, sięgającą jeszcze lat 20. i 30. ubiegłego wieku. Zarejestrowała ona, niczym kamera filmowa, wierne do najdrobniejszych szczegółów obrazy z jakże odległej dla mnie przeszłości. Zapisła skrupulatnie imiona i nazwiska ludzi, którzy już dawno odeszli z tego świata. Co znamienne, w pamięci pani Józefy tak dokładnie i wyraziście zapisało się zaledwie 10 lat spędzonych przez nią w przedwojennej Spale. Bo to przecież spalski rozdział, chociaż zakończony

wielką tragedią osobistą, był jednak - jak sama podkreślała - najpiękniejszym rozdziałem w jej życiu.

Na spotkanie z Józefą Szymańską zabrałem pokaźny, kompletowany przeze mnie od wielu lat album z archiwalnymi zdjęciami i starymi pocztówkami z motywami dawnej Spały. Niejedna z tych fotografii wywoływała wzruszenie u pani Józefy. Dzięki jej znakomitej pamięci mogłem zidentyfikować uwiecznione na nich postacie i zdarzenia. Niejako w rewanżu pani Józefa wyjęła ze swojego albumu rodzinnego unikatowy wręcz zestaw kilkudziesięciu zdjęć przedwojennej Spały, których dotąd zupełnie nie znałem. Oględziny tych fotografii przeplatały się z niezwykłą historią życia Józefy Szymańskiej.

Dowiedziałem się, że pochodziła ze wsi Królowa Wola, położonej nieopodal Spały i zawsze blisko z nią związanej. Już jako dziecko, a potem dorastająca panna często bywała w Spale. Tutaj też poznała swojego przyszłego męża – Jana Szymańskiego. Był on rodowitym „spalakiem”; jego ojciec – Józef Szymański służył jako woźnica – kuczer jeszcze u wielkiego łowczego cara Aleksandra III – margrabiego Zygmunta Wielopolskiego.

Jan Szymański, po odbyciu służby wojskowej w artylerii konnej, został w końcu lat 20. ub. wieku kamerdynerem u prezydenta R.P. Ignacego Mościckiego, pracując wyłącznie w spalskim pałacu. W 1931 roku ożenił się z młodą mieszkanką Królowej Woli. I tym sposobem pani Józefa została nie tylko żoną prezydenckiego kamerdynera, ale także sama dostała się na służbę do pałacu w Spale.

Dla mnie, prostej dziewczyny z Królowej Woli to był wielki awans. Nagle znalazłam się we wspaniałym otoczeniu wytwornych ludzi. Byłam pracowita i szybko się uczyłam, co pozwoliło mi dojść do funkcji tzw. podkuchennej w spalskim pałacu. Życie w takim świecie, to było jedno nieustające święto. Wszyscy dookoła byli zawsze elegancko ubrani i zachowywali się bardzo uprzejmie, nawet wobec służby. A jacy tam bywali goście! Pamiętam, że kiedyś przyjechał do Spały sam Jan Kiepura. Kiedy wchodził do pałacu, odebrałam od niego płaszcz i kapelusz. Na pożegnanie ten słynny śpiewak dał mi 10 złotych – wspominała i z dumą i rozrzewnieniem pani Józefa.

A może tego samego dnia zrobiono pierwsze ze zdjęć pokazanych mi przez J. Szymańską? Na tle spalskiego pałacu i zaparkowanej przed nim eleganckiej limuzyny stoją dwaj tutejsi kamerdynerzy: z lewej Stanisław Jurgowiak i po prawej – Jan Szymański (mąż pani Józefy). Tak, tylko tacy przystojni mężczyźni mogli wtedy zostać prezydenckimi kamerdynerami – komentowała tę fotografię z westchnieniem .

Oglądaliśmy kolejne zdjęcia ze spalskiego albumu. Na jednym z nich widać prezydenta I. Mościckiego w towarzystwie dużego, kudłatego psa. To był ulubiony pies prezydenta. Miał na imię Lord. Mościcki pozwalał mu na wszystko. Lord miał specjalne pośłanie w holu na parterze pałacu. Kiedy tylko prezydent zasypiał w swoim pokoju na piętrze, pies wdrapywał się po krętych, żelaznych schodach do jego sypialni. Sam otwierał łapą drzwi i podkradał coś z prezydenckiej garderoby. Najczęściej były to skarpetki. Lord przynosił je do swojego legowiska, by z nimi spać do rana. Po obudzeniu się prezydent nie mógł znaleźć swoich skarpetek, ale wcale nie złościł się na swojego pupila.

Opowiadano po wojnie – wspominała dalej pani Józefa – że ten pies zdechł po ukąszeniu go w lesie przez jadowitą żmiję. Słyszałam nawet, że żona prezydenta Mościckiego – Maria miała jakoby

wyznaczyć nagrodę w wysokości 5 złotych za przyniesienie zabitej żmii, aby się zemścić za śmierć ulubionego psa jej męża. Ale to trzeba włożyć między bajki, bo Lord zdechł w spalskim pałacu, po prostu ze starości. Prawdą jest tylko to, że prezydent pochował go obok kamiennego pomnika świętego Huberta stojącego w lesie nad brzegiem Pilicy. Grób psa przykryto gładem z wyrytym napisem: Lord 1935 – wyjaśniała mi Józefa Szymańska.

Przed naszymi oczami przesuwają się kolejne kadry z życia przedwojennej Spały. Pani Józefa uważnie przypatrywała się przyniesionemu przeze mnie zdjęciu wnętrza pałacowej kuchni. Otrzymałem je wcześniej od mieszkanki Tomaszowa Maz. – Bogumiły Głowy, która odpowiadając na apel zawarty w gawędzie z cyklu „Spalska Arkadia” przekazała mi niektóre pamiątki po swojej, nieżyjącej już ciotce – Salomei Piotrowskiej. Pochodziła ona z sąsiadującej ze Spalą wsi Cieślówice i przed wojną dosłużyła się funkcji kredensowej na Zamku Królewskim w Warszawie (o czym jeszcze będzie mowa). Niektóre z postaci widniejących na tej fotografii dotychczas były dla mnie anonimowe.

Tak, to jest wnętrze kuchni pałacowej w Spale – potwierdziła J. Szymańska. – Znajdowała się ona obok pałacu, tam, gdzie później zrobiono FWP-owską stołówkę. Kuchnia była połączona z pałacem drewnianą krytą galerią, którą dostarczano posiłki. Oczywiście, poznaję osoby sfotografowane na tym zdjęciu. Widoczny po lewej stronie kucharz nazwiskiem Zalewski przyjeżdżał z prezydentem z Warszawy, kiedy w Spale odbywały się jakieś ważniejsze przyjęcia. To był prawdziwy kuchmistrz. Nie tylko świetnie gotował, ale znał kilka języków. Pośrodku rozpoznaję kamerdynera Władysława Rumińskiego, który ma na sobie galową liberię. On także przyjeżdżał na specjalne okazje do spalskiego pałacu z Warszawy. Stojąca po prawej kucharka miała na imię Janka. Niestety, nazwiska nie pamiętam. Ona także przyjeżdżała z Warszawy i dobrze znała się na kuchni. Myślę, że w dniu, kiedy zrobiono to zdjęcie, prezydent Mościcki miał w swojej spalskiej rezydencji wyjątkowych, może zagranicznych gości – domyślała się pani Józefa.

Niewykluczone, że tego samego dnia zostało wykonane inne ze zdjęć przechowanych w rodzinnym albumie przez J. Szymańską. Na tle frontonu spalskiego pałacu stoją od lewej: opiekunka wnuka prezydenta Mościckiego (zdrobniale przez wszystkich nazywana Bronią), wspomniany wcześniej kamerdyner W. Rumiński i kucharka imieniem Janka. Jak się rzekło, na co dzień pracowali oni na Zamku Królewskim w Warszawie.

Kolejne zdjęcie, wydobyte dla odmiany z mojego albumu, wywołało nowy przypływ wspomnień u rozmówczyni. Fotografie, przedstawiającą moment wyjścia I. Mościckiego ze spalskiego kościółka po uroczystym nabożeństwie, otrzymałem od mieszkanki Piotrkowa Tryb. – Longiny Cyniak. Jej mąż, Wacław Cyniak prowadził przed II wojną światową centralę telefoniczną w spalskiej rezydencji. Na wspomnianej fotografii prezydenta Mościckiego, idącego wśród szpaleru wieśniaczek z Królowej Woli, poprzedzają dwaj postawni i eleganccy oficerowie w galowych mundurach.

Poznaję ich, to są adiutanci Mościckiego. – ożywiła się pani Józefa – Obaj byli w stopniu kapitana. Ten w mundurze podhalańczyka nazywał się Hartman, a drugi ubrany na biało nosił nazwisko Kryński i był oficerem lotnictwa morskiego. Pamiętam, że kilka razy przyleciał swoim samolotem z Warszawy i krążył nisko nad Spalą. Zdenerwowało to prezydenta Mościckiego, któremu warkot samolotu przeszkadzał w pracy. Dlatego zabronił kapitanowi Kryńskiemu dalszych lotów nad centrum Spały.

W trakcie dalszej rozmowy przekonałem się, że Józefa Szymańska ze szczególnym uznaniem i szacunkiem wyrażała się o drugiej żonie prezydenta Mościckiego – Marii. Wie pan, ona była najpierw sekretarką Mościckiego i traktowała nas, służbę bardzo życzliwie. Kiedy została panią prezydentową, to wcale się nie zmieniła w stosunku do nas. Była urodzoną społeczniczką. Na przykład: zorganizowała dla kobiet mieszkających w Spale i pobliskich wsiach takie goło gospodyń, na którym uczyłyśmy się szyć i haftować. Pani prezydentowa była bardzo dumna z naszych dzieł, które wystawiała w holu hotelu „Savoy” sąsiadującego ze spalskim pałacem (obecnie dom wczasowy FWP „Rogacz” – dop. A.K.). Bardzo podobały się jej nasze stroje ludowe. Prosiła nas, żebyśmy je wkładały przy każdej okazji – podkreślała pani Józefa, wydostając na potwierdzenie ze swojego albumu zdjęcie ukazujące członkinie wspomnianego koła spalskich gospodyń na tle ich krawieckich majstersztyków. W pierwszym rzędzie widać pochyloną nad dziećmi Marię Mościcką. Jest na tym zdjęciu także pani Józefa, wtedy młoda mężatka. Stoi w pierwszym rzędzie, druga od lewej.

Na moje kolejne spotkanie wspomnieniowe z Józefą Szymańską przybył także jej syn – Jan. Chociaż już od 30 lat mieszkam w Tomaszowie, to jednak nadal czuję się „spalakiem” z krwi i kości – zaznaczył na powitanie. Nic dziwnego, bowiem urodził się w 1932 roku właśnie w Spale jako pierworodny syn Jana Szymańskiego – kamerdynera z tutejszego pałacu prezydenta I. Mościckiego. To przecież w Spale pan Jan spędzał szczęśliwe dzieciństwo hołubionego przez rodziców jedynaka, dzieciństwo tak brutalnie przerwane przez wojnę. To ona zabrała mu ojca i wyгнаła wraz z matką ze Spalskiej Arkadii.

Wydobywane z zakamarków pamięci J. Szymańskiego najdawniejsze wspomnienia ze Spały wiążą się z tamtejszym przedszkolem. Uczęszczał do niego wraz z innymi dziećmi pracowników obsługi spalskiej rezydencji. Opiekunką tej dziatwy była Gabriela Wesołowska – również pochodząca ze Spały. Chociaż byłem wtedy pięcio- lub sześćioletnim malcem, to zapamiętałem do dzisiaj nasze spacerunki po Spale i okolicy. Pani Gabriela prowadziła nas do pomnika żubra i do słomianego grzyba nad Pilicę. Któregoś dnia nasza gromadka mijała pałac, a na jego ganku siedział sam pan Prezydent w towarzystwie dużego czarnego psa. Nasza wychowawczyni powiedziała nam wtedy, żebyśmy równo maszerowali, bo patrzy na nas Pan Prezydent. Pamiętam, że Mościcki uśmiechnął się do nas i przyjaźnie pokiwał ręką. Było to dla mnie duże przeżycie, o którym potem długo opowiadałem swoim rodzicom i sąsiadom – snuł w lutym 2000 roku swoje wspomnienia Jan Szymański, będący już wtedy emerytem.

Dla zilustrowania jego opowieści spośród zachowanych w albumie Józefy Szymańskiej kilku zdjęć ze scenami zabaw i spacerów dzieci z przedwojennego przedszkola w Spale, warto wybrać fotografię wykonaną na tle spalskiego stadionu. Widać na niej wspomnianą wcześniej przedszkolankę i dzieciaki, w najlepsze formujące piaskowe babki tuż przed honorową trybuną przeznaczoną dla prezydenta I. Mościckiego.

Na innych zdjęciach widać sceny z kostiumowego balu karnawałowego zorganizowanego dla spalskich przedszkolaków w hotelu „Savoy”. Dzieciarni, przebranej pięknie za bajkowe postacie, towarzyszą przedstawiciele zarządu rezydencji spalskiej. W tle widać wspaniale ustrojoną choinkę i słomiany dach żłobka. Wszyscy są uśmiechnięci i beztroscy. Słowem – pełna sielanka.

Tak – wdychała po latach pani Józefa – Wtedy nie musieliśmy się martwić o przyszłość. Praca w Spale dawała nam sporo przywilejów i duże poczucie bezpieczeństwa. Kiedy wyszłam w 1931 roku za

prezydenckiego kamerdynera, to już nie musiałam pracować w pałacu jako kredensowa. Dostaliśmy wygodne mieszkanie w domu znajdującym się na prawym brzegu Pilicy tuż za mostem. Naszymi sąsiadami były rodziny Cabanów, Wójcików, Poźniaków i Cyniaków, podobnie, jak my, związane poprzez pracę ze spalską rezydencją. Powodziło nam się na tyle dobrze, że mogliśmy myśleć o przyjemnościach i podróżach. Ludzi zatrudnionych przy prezydencie Mościckim było stać nawet na zakup motocykla, który wtedy był wielkim luksusem.

Na dowód pani Józefa pokazała mi zdjęcie przedstawiające znamiennej scenę z przedwojennej Spały. Na parkowej alejce przed pałacem stoi duży, błyszczący chromami motocykl. Z dumą prezentuje tę imponującą maszynę jej właściciel – Stanisław Dąbrowski, na co dzień gospodarz sąsiadującego z pałacem hotelu „Savoy”. Stojący na prawo od motocykla mąż pani Józefy ma na sobie galową liberię. Widocznie tego dnia prezydent Mościcki przyjmował szczególnie znamienitych gości. Na zdjęciu są widoczni także dwaj policjanci z ochrony prezydenta RP w Spale.

Któregoś dnia – kontynuowała wspomnienia Józefa Szymańska – musiałam pojechać z synem do mojej rodziny w Warszawie. Tak się złożyło, że akurat wtedy wracał do Warszawy samochód, który przywiózł do Spały prezydenta na dłuższy pobyt. Ponieważ mój mąż przyjaźnił się z kierowcą tej limuzyny, to skorzystałam z darmowej podróży. I to jakim autem! Pamiętam, jak przez całą drogę wszyscy się za nami oglądali. Jakże ja wtedy byłam dumna i szczęśliwa...

Niewykluczone, że tę cudowną i niezapomnianą podróż pani Józefa odbyła autem widocznym na zdjęciu zachowanym w jej albumie. Fotografia, sygnowana na odwrocie datą 10 lutego 1935 roku, jest również opatrzona odręcznie napisaną informacją: „Auto z kompanii Prezydenta. Krzyżówka od Konewki”. Obok widnieje dedykacja skreślona spalskiemu kamerdynerowi, Janowi Szymańskiemu przez jego przyjaciela, prezydenckiego kierowcę: „Na wieczną Jasiowi pamiątkę – Albert”.

W swoim rodzinnym albumie Józefa Szymańska pieczołowicie przechowała jeszcze jedną niezwykłą pamiątkę z lat swojej służby w spalskim pałacyku. Ma ona postać niewielkiego, sztywnego kartoniku w kolorze kremowym, z wytłoczonym u góry godłem państwowym i jest najprawdziwszym jadłospisem potraw podanych na szczególnie uroczystej kolacji w spalskiej rezydencji prezydenta I. Mościckiego. Świadczy o tym treść owego menu: „WIECZERZA DNIA 10 LISTOPADA 1936 R. – Przekąski – Pieczeń wołowa na zimno. Sos porzeczkowy – Bażanty pieczone. Sałata – Selery z pieczarkami – Lody – Owoce”.

Takimi to wyszukany daniami I. Mościcki uraczył swoich dostojnych gości w spalskim pałacyku z okazji przypadającego wtedy 18-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. W wigilię tej uroczystości w jadalni, mieszczącej się na półpiętrze pałacyku, w otoczeniu mnóstwa okazałych rogów jelenich zdobiących ściany i tworzących stylowe żyrandole, zasiadło do uroczystej kolacji nieliczne, acz wytworne towarzystwo. Za sprawą Józefy Szymańskiej, byłej pokojówki i kredensowej w przedwojennym pałacu spalskim wiemy dzisiaj, co i na czym jadali tu wówczas goście prezydenta Mościckiego. Zarówno oni, jak i obsługujący ich pracownicy spalskiej rezydencji nie przypuszczali, że kres tej sielanki jest taki bliski.

W końcu sierpnia 1939 roku mój mąż został zmobilizowany do wojska – wspominała po latach pani Józefa – Chociaż był kamerdynierem samego prezydenta Mościckiego i mógł się wyreklamować od

wojska, to jednak tego nie zrobił. Pracownicy spalskiej rezydencji odznaczyli się patriotyczną postawą i po prostu nie wypadało im unikać obowiązku obrony ojczyzny. Dlatego mój mąż – Jan Szymański poszedł na wojnę, pozostawiając w Spale mnie i naszego 7-letniego synka. Okazało się, że był to koniec najszcześniejszego okresu w naszym życiu - skonstatowała ze smutkiem Józefa Szymańska.

Już 3 września 1939 roku postanowiła ona wraz z kilkunastoma innymi rodzinami ze Spały uciekać przed Niemcami na wschód. Wraz ze swoim 7-letnim synkiem pani Józefa przeżyła koszmar ucieczki ciągle zatłoczonymi drogami i pod ciągłymi nalotami niemieckich samolotów. Zakończyła się ona około 17 września gdzieś pod Łuckiem. Większą część drogi powrotnej do Spały I. Szymańska i jej synek musieli przebyć pieszo. Po kilkunastu dniach byli na miejscu, gdzie już czekał na nich mąż i ojciec – Jan Szymański. Okazało się, że uczestniczył on w obronie Warszawy, a potem dostał się do niemieckiej niewoli. Korzystając a niezbyt dokładnego pilnowania jeńców, uciekł z tymczasowego obozu i powrócił do Spały. Tak więc cała trójka znów była razem w Spale, ale w jakże zmienionej sytuacji.

Początkowo mąż pani Józefy nadal pracował jako kamerdyner w spalskim pałacyku, w którym ulokowało się wysokie dowództwo niemieckie. Fakt ten postanowili wykorzystać konspiratorzy z ZWZ-AK, którzy właśnie w Spale uruchomili pierwszą w okupowanej Polsce komórkę wywiadowczą. Jednym z jej członków był właśnie Jan Szymański. Niestety, w październiku 1940 roku Niemcy wpadli na trop tej komórki i aresztowali wszystkich konspiratorów. Większość z nich, a w tym i J. Szymański została zamordowana przez hitlerowców.

Jego owdowiała żona przez jakiś czas pracowała w Spale jako pokojówka, ale na dłuższą metę nie było tu już dla niej miejsca. Przeniosła się zatem z synem do Tomaszowa, gdzie spędziła resztę okupacji. Zaraz po wojnie pani Józefa powróciła do Spały, by podjąć pracę przy obsłudze tutejszych ośrodków FWP. Po przejściu na emeryturę resztę życia spędza w Tomaszowie. Nigdy nie wyszła ponownie za mąż.

x x x

Jednym z wielu czytelników TIT, który postanowił mi dopomóc w kontynuowaniu gawęd z cyklu „Spalska Arkadia” był mieszkaniec Tomaszowa Maz. Jacek Wesołowski. W maju 2000 roku zaprosił mnie on do swoich rodziców - Janiny i Waclawa Wesołowskich, mieszkających od kilkadziesiąt lat w Spale. Niebawem zawitałem do ich domku ukrytego między drzewami obok spalskiego kociołka i budynku dawnej pralni FWP-owskiej. W tych ceglanych murach, mieszczących niegdyś przypałacową oranżerię niejako namacalnie czuło się atmosferę przeszłości. Przede wszystkim była to jednak zasługa samych gospodarzy, chętnie oddających się wspomnieniom „ze starych, dobrych czasów”.

Mój ojciec, Bronisław Rawski był stangretem jeszcze u prezydenta Narutowicza, a potem woził także prezydentów Wojciechowskiego i Mościckiego – podkreśliła na wstępie z nieukrywaną dumą pani Janina. Ojciec pochodził spod Warszawy. Najpierw był zatrudniony w obsłudze warszawskiego Belwederu. Mama – Stefania była rodowitą warszawianką; pochodziła z Grochowa. Na początku zajmowaliśmy służbowe mieszkanie w sąsiedztwie Belwederu, gdzie w 1922 roku przyszedł na świat.

Potem przeniesiono nas do mieszkania obok Zamku Królewskiego w sąsiedztwie z Pałacem pod Blachą. Zapamiętałam co nieco z tamtych czasów. Na przykład wciąż mam przed oczami postawną, elegancką postać Sikorskiego, wtedy premiera rządu, kiedy przechodził koło naszej stróżówki.

Pamiętam też często powtarzaną przez ojca opowieść – ciągnęła dalej – o tym, jak po raz ostatni wioził prezydenta Narutowicza. Ojciec pojechał z nim w reprezentacyjnym powozie pod budynek „Zachęty” i tam czekał na jego powrót. Po pewnym czasie z tego gmachu wyszedł ktoś ze świty prezydenta i powiedział ojcu, że może odjechać sam. Dopiero po powrocie do wozowni belwederskiej ojciec dowiedział się, że prezydent Narutowicz został zastrzelony w „Zachęcie” przez zamachowca – snuła osobliwe wspomnienia ze swojego dzieciństwa wyraźnie wzruszona pani Janina.

Niejako na poparcie swoich słów pokazała mi oryginalną fotografię przedstawiającą scenę przejazdu reprezentacyjnego powozu typu lando z wozowni belwederskiej ulicami Warszawy (być może przez Krakowskie Przedmieście). Na zdjęciu wyraźnie widać, że był to nader elegancki powóz na specjalne okazje. Zaprzężona do niego para siwków odznacza się wyjątkową urodą i gracją. Pięknie utrzymane konie utrzymują równy i jednakowy krok! Ciekawym szczegółem równie eleganckiej, co powóz, uprząży są miniaturowe godła państwowe – orzełki umieszczone na tzw. okularach zastaniających z boku oczy koni. Warto również zwrócić uwagę na reprezentacyjne liberie stangretów i na eskortujący powóz oddział polskich kawalerzystów w odświętnych uniformach.

To zdjęcie zostało zrobione około 1925 roku – wyjaśniła J. Wesołowska. – jak opowiadał mi ojciec, jechali nim wtedy na audiencję u prezydenta Wojciechowskiego ambasadorowie Francji i Rumunii. A powoził właśnie mój ojciec, siedzący po prawej stronie kozła. To dopiero był szyk... - westchnęła z rozrzewnieniem pani Janina.

Niestety, po upływie zaledwie trzech lat od chwili wykonania opisanej fotografii okazało się, że używanie konnych zaprzęgów do podobnych celów reprezentacyjnych jest już przeżytkiem. Zostały one wyparte przez eleganckie limuzyny rządowe. Ale dla tradycyjnych powozów konnych było jeszcze miejsce w ukrytej wśród nadpilickich borów spalskiej rezydencji prezydentów R.P.

W 1928 roku, już za prezydenta Mościckiego, mój ojciec dostał służbowe przeniesienie do Spały – kontynuowała Pani Janina. – Pamiętam, że był z tego powodu bardzo niezadowolony. Mówił, że to dla niego zsyłka. Ale cóż było robić? W Warszawie nie było już dla niego miejsca i myśląc o swojej rodzinie musiał się przenieść do Spały. Dobrze pamiętam tę podróż, w którą oprócz ojca, mamy i mnie wyruszyły także moje dwie starsze siostry i również starszy ode mnie brat. Cały nasz dobytek został załadowany do wagonu towarowego. Z tego powodu jechaliśmy z Warszawy do Spały aż trzy dni! Pamiętam, że bardzo długo nasz wagon czekał na odpowiedni skład towarowy na stacji w Koluśkach. W końcu dotarliśmy do stacyjki w Konewce pod Spalą. Po nas i po nasz dobytek przystano dużą furmankę z zarządu spalskiej rezydencji. Powitał nas sam zarządca Spały – kapitan Ropelewski. Pamiętam, że na powitanie zażartował: A czy te wszystkie wasze graty mamy wrzucić do Pilicy?

Z początku przybyłą z Warszawy rodzinę Rawskich ulokowano w suterenie hotelu „Savoy”. Jak wspominała pani Janina, było to jedno duże pomieszczenie. Obok mieszkali funkcjonariusze policji państwowej, zapewniający w Spale ochronę prezydentowi Mościckiemu. Powszechnie nazywano ich tutaj „kanarkami”. Po kilku miesiącach rodzina prezydenckiego stangreta, Bronisława Rawskiego

przeniosła się do zwolnionego przez poprzednich lokatorów mieszkania w budynku obok dawnej, jeszcze carskiej palmiarni, w którym już po ostatniej wojnie mieściło się na parterze kino „Wczasowe”. Kolejnym miejscem zamieszkania tej rodziny była od 1937 roku drewniana gajówka usytuowana w lesie między Spałą i Teofilowem.

Bardzo dobrze pamiętam tamte lata i często do nich wracam myślami – opowiadała dalej Janina Wesołowska. – Początki nauki szkolnej pobierałam razem z dziećmi z spalskiej bursy dla sierot. Potem chodziłam do szkoły w Inowłodzu, aż do jej ukończenia. Mój brat, noszący tak jak ojciec, imię Bronisław, został posłany na naukę zawodu zecera do szkoły prowadzonej przez salezjanów w Warszawie. Jego naukę opłacała kancelaria cywilna prezydenta RP. Podobnie moja siostra – Henryka uczyła się krawiectwa w jednej ze szkół zakonnych w Warszawie.

W Spale prowadziliśmy może niezbyt zamożne, ale za to spokojne życie – podkreślała po latach J. Wesołowska. – Moja mama nie musiała pracować i zajmowała się domem. Ojciec ciągle gdzieś jeździł. A to wyjeżdżał po gości prezydenta na stację w Konewce, albo na dworzec kolejowy w Tomaszowie, a to znów powoził myśliwskim brekiem lub linijką podczas częstych polowań Mościckiego w okolicach Spały. Pamiętam, że często po takim wyjeździe ojciec wracał zmęczony i wyziębiony. Zawsze jednak przywoził do domu coś z upolowanej zwierzyny. Raz był to zając, a innym razem nawet sarna. Któregoś dnia ojciec zawiózł powozem ze Spały biskupa na jakieś uroczności kościelne do Smardzewic. Może to był odpust na świętą Annę? W każdym razie ojciec wrócił stamtąd dosyć podochocony. Pamiętam, że wyśpiewywał ludowe przyspiewki i głośno wychwalał smakowitą kuchnię smardzewickich gospodyń.

Często w poszukiwaniu ojca – wspominała dalej córka spalskiego stangreta - zaglądałam do wozowni i stajni, które mieściły się w długim budynku z cegły na tyłach kościółka. Stały tam wypucowane na wysoki połysk powozy do dyspozycji prezydenta i jego gości. Najbardziej okazałe prezentowało się prezydenckie lando i brek myśliwski.

Tę opinię pani Janiny w pełni potwierdza zachowane przez nią zdjęcie, będące dla niej jakże drogą pamiątką po ojcu. Zostało wykonane na początku lat 30. ub. wieku i przedstawia stangreta Bronisława Rawskiego powożącego wspomnianym wcześniej prezydenckim brekiem. W tle widnieje boczna ściana hali sportowej, sąsiadującej ze stadionem dożynkowym w Spale.

I w tym przypadku, oprócz eleganckiego i zadbanego powozu, przyciągają wzrok wyjątkowo dorodne konie. Ileż trzeba było poszukiwać w polskich stadninach, żeby dobrać dwa prawie takie same gniadosze? Obydwa mają niemal identyczne białe „skarpety” na nogach i takie same białe „strzałki” między oczami! I te konie pozują do zdjęcia z jednakowo ustawionymi kopytami!

Tak samo dobierane i zadbane były pozostałe konie ze spalskiej stajni. Było ich kilkanaście. Jedne służyły do zaprzęgu, inne pod wierzch, a jeszcze inne – do pracy w gospodarstwie zaopatrującym tutejszą rezydencję w świeże produkty rolne i ogrodnicze – zaznaczała pani Janina. Podkreślała też ze smutkiem, że tę sielankę zburzyła przedwczesna śmierć jej ojca w 1937 roku. A miał on wtedy zaledwie 45 lat! Zapewne przyczyniły się do tego trudy jego furmańskiej pracy, przebiegającej na ogół na wolnym powietrzu, w słońcu i podczas mrozów.

Po ojcu została nam skromna renta – wspominała pani Janina – Nie wystarczała ona na nasze utrzymanie, toteż imaliśmy się różnych dorywczych zajęć. Na szczęście pozwolono nam nadal mieszkać w gajówce. Obok niej stała jedna z czterech bram prowadzących do spalskiej rezydencji. Jak tylko odezwał się klakson jakiegoś samochodu, to biegłam do bramy, aby ją otworzyć. Dostawałam za to napiwki, czasem nawet dosyć wysokie.

Któregoś dnia – przypomniała sobie J. Wesołowska – natknęłam się na przechodzącą przez „naszą” bramę drugą żonę prezydenta Mościckiego – Marię. Towarzyszyło jej kilka osób. Widocznie zrobili sobie dłuższy spacer wzdłuż Pilicy. O dziwo, pani prezydentowa rozpoznała mnie! Zapytała, jak sobie radzimy po śmierci ojca. Kiedy odpowiedziałam, że nie najgorzej, pani prezydentowa uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Wprawdzie tego dnia dorastająca córka prezydenckiego stangreta nie dostała kieszonkowego od pani prezydentowej, ale za to parokrotnie spotkało ją to ze strony I. Mościckiego. Prezydent bardzo nie lubił słuchać chóralnych śpiewów na swoją cześć w wykonaniu osób dorosłych. Za to uwielbiał głośniki dziecięce. I ja miałam możliwość kilkakrotnie znaleźć się w takim chóрку śpiewającym dla pana prezydenta z okazji jego urodzin bądź imienin. Za każdy taki „występ” dostawałam aż dwa złote – chwaliła się po latach pani Janina.

A tymczasem do spalskiej Arkadii coraz częściej dobiegały złowieszcze pogłoski o rychłej wojnie. Kiedy już wybuchła, to matka J. Wesołowskiej postanowiła nie czekać w Spale na nadejście Niemców. Zawiązała najpotrzebniejsze rzeczy w tobołki i wraz ze swoimi córkami (syn został wcześniej zmobilizowany do wojska) wyruszyła za falą uciekinierów w kierunku Warszawy. Ich wędrówka zakończyła się niedaleko, bo pod Przytykiem. Widząc tam pobojuwisko pełne zabitych żołnierzy i koni postanowili wrócić do Spały.

Nie zagrzałyśmy jednak długo miejsca w naszej gajówce – zaznaczyła pani Janina – Zaraz po przejściu frontu zaczęli się u nas pojawiać jacyś dziwni ludzie. Zarzucali nam, że jako pracownicy spalskiej rezydencji Mościckiego jesteśmy współwinni klęski Polski w wojnie z Niemcami. Chcieli nam zabierać „na pamiątkę” różne, co wartościowsze rzeczy. Dlatego postanowiliśmy opuścić samotną gajówkę i przenieśliśmy się do samej Spały.

Tutaj też Janina Wesołowska spędziła lata niemieckiej okupacji i tutaj pracowała wiele lat po wojnie, kiedy w dawnej rezydencji Ignacego Mościckiego gospodarował FWP, Były to jednak, jak ze smutkiem podkreślała pani Janina, już zupełnie inne czasy i zupełnie inni ludzie. Zmarła w Spale w 2003 roku.

x x x

Poprzez Spałę i dzięki Spale za czasów prezydenta I. Mościckiego zrobiła niezwykłą karierę mieszkanka zwykłej, niepozornej wioski nadpilickiej Ciebłowice – Salomea Piotrowska. Chociaż zmarła ona na początku lat 90. ub. wieku, to jednak wiele frapujących informacji o jej nietuzinkowych kolejach życia uzyskałem przed paroma laty od mieszkanki Tomaszowa Maz., Bogumiły Głowy (z domu Piotrowskiej). Pani Salomea, urodzona w 1899 roku w Ciebłowicach, była jej ciotką. Jak

opowiadała mi pani Bogumiła, obydwie chętnie i często rozmawiały o „starych, dobrych czasach”. Ciotka miała do nich szczególny sentyment, a jej bratanica okazała się wdzięczną słuchaczką. Salomea Piotrowska przekazała jej więc nie tylko swoje wspomnienia, ale także najbliższe sercu pamiątki z lat służby przy prezydentach Rzeczypospolitej w Spale i Warszawie.

Ciocia Salcia – relacjonowała pani Bogumiła, sama będąca urodzoną gawędziarką – została przyjęta jako młoda panna do pracy przy pałacu prezydenckim w Spale. To było chyba jeszcze za prezydenta Wojciechowskiego. A że była dziewczyną rezolutną i chętną do pracy, to wkrótce awansowała. Kiedy przynosiła warzywa do pałacowej kuchni, wpadła w oko kucharce Janinie, przyjeżdżającej do Spawy z Warszawy na specjalne okazje. Dzięki niej ciocia dostała się do pracy w kuchni przy pałacu w Spale. Była tu najpierw tzw. podkuchenną, potem kucharką, a później awansowała na kredensową. Wtedy ciocia już jeździła z obsługą prezydenta Mościckiego do Zamku Królewskiego w Warszawie. W końcu tam zamieszkała. Opowiadała mi, że jej pokój znajdował się w zamkowej wieży nad bramą wjazdową tuż pod zegarem. Ciocia objęła stanowisko kredensowej na Zamku. Na tamte czasy to była duża kariera – mówiła z dumą o swojej ciotce pani Bogumiła.

Na dowód może posłużyć autentyczna książeczka oszczędnościowa Salomei Piotrkowskiej z czasów przedwojennych. Znalazła się ona wśród pamiątek przekazanych przed jej śmiercią bratanicy – Bogumile. Na pierwszej stronie owej książeczki w rubryce „zawód” wpisano: KREDENSOWA NA ZAMKU, zaś w rubryce „dokładny adres” widnieje zapis: W-WA ZAMEK KRÓLEWSKI.

Nie mniejsze wrażenie robi kwota, będąca stanem oszczędności Salomei Piotrkowskiej na dzień 10 października 1938 roku. Opiewa ona na ni mniej, ni więcej, jak na... 7.301 złotych i 52 grosze. To były wtedy naprawdę niemałe pieniądze! Za taką sumę tuż przed wojną można było kupić spory plac w mieście wraz ze stojącym na nim dużym domem. Niestety, pieniądze te Salomea Piotrkowska straciła wraz z wybuchem II wojny światowej (o czym jeszcze będzie mowa).

Opowiadała mi ciocia – kontynuowała wspomnienia pani Bogumiła – że w tamtych czasach ciągle była w rozjazdach, towarzysząc prezydentowi Mościckiemu w jego podróżach po kraju. Wypoczywał on nie tylko w Spale, ale także w zameczku w Wiśle. Bywał też w Białowieży, w Jastrzębiej Górze i w Zakopanem. Wszędzie towarzyszyła mu jako kredensowa moja ciocia. Może dlatego nie miała czasu, żeby założyć rodzinę i do końca życia pozostała panną – zastanawiała się głośno B. Głowa.

Na poparcie swoich słów wyjęła spośród pamiątek po ciotce zdjęcie wykonane przed wojną w Zakopanem. Przedstawia ono reprezentacyjne sanie zaprzężone w dwa dorodne konie i powożone przez umundurowanego woźnicę. Pasażerami są członkowie obsługi prezydenta Mościckiego, którzy być może za jego przyzwoleniem wybrali się na przejażdżkę jego saniami po stolicy Tatr. Na tylnym siedzeniu po prawej stronie siedzi prezydencka kredensowa – Salomea Piotrkowska.

Nie zabrakło jej również w świcie Prezydenta RP – Ignacego Mościckiego, z którą 17 września 1939 roku przekroczył on graniczny most na Czeremoszu i udał się do Rumunii. Przepętniona goryczą i upokorzeniami „rumuńska emigracja” I. Mościckiego wiodła przez Czerniowce, Bicz i Craiova. Zarówno on, jak i członkowie jego świty musieli w tej drodze zaznać także dotkliwego niedostatku. W porównaniu z komfortem Zamku Królewskiego, czy pałacu w Spale, warunki bytowania w Rumunii były dla nich szokującą odmianą.

Można sobie wyobrazić, co przeżywała wtedy prezydencka kredensowa – Salomea Piotrowska. Jak bardzo w takich warunkach musiało cierpieć jej poczucie obowiązku i dumy z przynależności do świty Głowy Państwa! Ileż musiała znieść upokorzeń i rozterek wywołanych pobytem na obczyźnie i brakiem kontaktu z najbliższymi! Znajduje to wyraz w treści listu, a dokładniej karty pocztowej, wysłanej 5 grudnia 1939 roku przez Salomeę Piotrowską do Spały, zajętej przez Niemców. Adresatem karty był Witold Wieczorek, przedwojenny pracownik obsługi spalskiej rezydencji. Warto przytoczyć w całości treść tej niezwyklej korespondencji.

Drogi Panie Wieczorku, przesyłam panu pozdrowienia od wszystkich znajomych. Jesteśmy razem, zdrowie sprzyja, ale tęsknota gniecie. Proszę bardzo, żeby pan uczynił tę grzeczność i zawiadomił moich rodziców, że jestem zdrową i myślę o nich. Dzieli nas szmat drogi, lecz serce moje i myśli są w domu. Proszę wszystkich znajomych pozdrowić od nas wszystkich i błagam, jeśli pan otrzyma kartę, proszę odpisać parę słów co słychać u rodziny i was wszystkich. Kończę temi słowy, żegnam uściskiem prawicy. Zawsze ta sama życzliwa – Salomeja.

Ta, jakże poruszająca korespondencja nasuwa kilka refleksji. Zastanawia to, że karta pocztowa wysłana przez S. Piotrowską z Rumunii w grudniu 1939 roku, w ogóle doszła do adresata! Nadawczyni podała przecież dosyć ogólnikowy adres: „Germania. Tomaszów Mazowiecki, Pałac w Spale”. Dowodzi to zarówno dużej popularności, jaką wtedy spalska rezydencja prezydenta RP cieszyła się w kraju i za granicą, jak też wysokiej sprawności ówczesnej poczty mimo wojennych warunków. Na uwagę zasługuje także adres nadawczyni karty „Romanie, Salomea Piotrowska, Palatul Fundatica Mihail, Craiova”.

Nie wiadomo, czy Witold Wieczorek spełnił prośby Salomei Piotrowskiej i odpowiedział na jej list. Faktem jest, że była kredensowa prezydencka na początku 1940 roku znalazła się w nadpilickich Ciebłowicach. Kiedy prezydentowi I. Mościckiemu udało się wreszcie, tj. w dniu 25 grudnia 1939 roku, wyjechać z Rumunii do Szwajcarii, to S. Piotrowska nie zdecydowała się pójść śladem innych członków jego świty i służby, którzy wybrali emigrację na Zachodzie. Postanowiła wrócić do kraju, zapewne powodowana głębokim niepokojem o swoją rodzinę pozostawioną w Ciebłowicach. Nie mogła już jednak liczyć na miejsce w Spale.

Salomea Piotrowska spędziła lata II wojny światowej mieszkając wraz ze swoimi rodzicami w Ciebłowicach i wiodąc z nimi dosyć ubogie życie. Przepadły pieniądze zaoszczędzone przez nią podczas pracy przy prezydencie Mościckim. Również po zakończeniu wojny byłej kredensowej wiodło się kiepsko, a to za sprawą jej bliskich związków z władzą potępionej wtedy II Rzeczypospolitej. Przez dziesięć lat S. Piotrowska pracowała fizycznie w spalskim PGR, dokąd przychodziła pieszo z Ciebłowic. Była to praca sezonowa, ale nader ciężka.

Po przejściu na emeryturę S. Piotrowska, która nigdy nie wyszła za mąż, zamieszkała u swojego brata w sąsiednich Białostrzegach. Tutaj też zmarła, dożywając sędziwego wieku 92 lat. Przed śmiercią często wracała wspomnieniami do najpiękniejszych w jej życiu lat, spędzonych w Spalskiej Arkadii i w królewskim zamku. Jak się rzekło, wierną słuchaczką jej opowieści o tamtych czasach była bratanica, Bogumiła Głowa. Właśnie jej przekazała nie tylko wspomnienia, ale także drogie sercu pamiątki po bezpowrotnie utraconej Spalskiej Arkadii. Są wśród nich zdjęcia z okresu pracy w rezydencji spalskiej,

z podróży ze świtą I. Mościckiego po kraju, a także z jego internowania w Craiovej.

Ze spalskiego pałacyku prezydencka kredensowa Salomea Piotrowska zabrała na pamiątkę i przechowała przez wszystkie, ciężkie lata wojenne i powojenne niecodziennego świadka historii. Jest nim biały obrus, którym niegdyś nakrywano stół w pałacowej jadalni. Brzezi znakomicie do dzisiaj zachowanego obrusu zdobi mereżkowa falbana, a resztę pokrywają adamszkowe desenie z bogatymi motywami roślinnymi. Pośrodku każdej połówki obrusu widnieje orzeł z koroną wraz z inicjałami RP.

Te unikatowe świadectwa dawno minionej świetności Spalskiej Arkadii i szczęśliwego życia jej mieszkańców znalazły godne miejsce w tomaszowskim Skansenie Rzeki Pilicy.